

Teksty Drugie 2004, 6, s. 6-9



CENTRUM
HUMANISTYKI
CYFROWEJ

Koniec epoki (wstęp)

Anna Nasiłowska

Koniec epoki

Kiedy w październiku 2004 roku byłam w Paryżu, żegnano Jacques'a Derridę. Z okładek tygodników wystawionych w kioskach spoglądała na przechodniów smutna twarz Derridy, holu nowoczesnej Bibliothèque Nationale odtwarzano na sporym ekranie jeden z ostatnich wykładów filozofa. Taśma przewijała się w kółko, przed telewizorem ustawiono niewielką pomarańczową sofę, aby można było przysiąść i posłuchać. Ale gdy przechodziłam, sofa była zawsze pusta i nikt nie zwalniał kroku. To było jeszcze bardziej przejmujące, zapisany w postaci cyfrowej Derrida ze szklanego ekranu mówił w kółko, z uporem akcentował wybrane frazy i rzucał je w pustą przestrzeń, otwierającą się za ścianą ze szkła.

Ta scena przemówiła do mnie bardzo mocno, choć nie mam ochoty opatrzyć jej jednoznacznej interpretacją. Wiadomo, jak to jest z interpretacjami... Ja nie przysiadłam na gościnie zapraszającej kanapie, bo nie miałam czasu. Wstęp do czytelnicy jest płatny i jeśli wydaje się na to zarobione w Polsce pieniądze, to każdą minutę trzeba wyceniać według kursu euro. Nie uszło jednak mojej uwadze zdanie, które pojawiło się w wypowiedziach kilku osób: „Odejdźcie Derridy to jest prawdziwy koniec pewnej epoki”.

Zdarzyło mi się jakieś dziesięć lat wcześniej być w Paryżu na wykładzie Derridy. Wtedy wyglądało to zupełnie inaczej. Aula była ogromna, wielkości największej sali w multipleksie, ale mimo że przyszedłam kilkanaście minut przed rozpoczęciem, wszystkie miejsca były już zajęte, a słuchacze siedzieli nawet w przejściach, na schodkach. To typowe, potem koleżanka powiedziała mi, że aby mieć pewność, że w latach siedemdziesiątych dostanie się na wykład Michela Foucault, przychodziła na poprzednie zajęcia w tej samej auli, bardzo nudne, z ekonomii. Derrida był w tamtym czasie równie popularny, jak ongiś Foucault. Sala była nabita, tylko gdzieś z tyłu dostrzegłam odrapane, samotne krzeselko, ale tym samym w momencie pojawił się jeszcze pewien pan, który chciał je zająć. Usiedliśmy więc wspólnie, ja z jednej strony, on z drugiej. Całe szczęście, że ten współpretendent do miejsca był raczej chudy. Okazało

się jednak, że nie zna francuskiego. Był matematykiem z Izraela, oświadczył, że Derridy nienawidzi, ale i tak (a może właśnie dlatego) przyszedł go zobaczyć. Wykład był poświęcony pewnym szczegółowym zagadnieniom w filozofii Heideggera, ale nie powiem, że bym dużo z niego zrozumiała. Po pierwsze, było to rozwinięcie analiz podjętych miesiąc wcześniej; po drugie, matematyk nie rozumiał nic, więc nudził się i kręcił na naszym wspólnym krzeselku, ciągle do mnie zagadując. Zdaje się, że oboje przyszliśmy w podobnym celu, aby potwierdzić swoje wcześniejsze przeświadczenia i poznać samą sytuację. On doznał więc rozczarowania, bo nie zobaczył manipulującego tłumem hochsztaplera, ja wręcz przeciwnie, potwierdziłam swoje podejrzenia, że wieści o demonicznym uroku Derridy są bardzo przesadzone. Wykład był fachowy, ale nie efekciarski, przekonywał profesjonalnością i to do tego stopnia, że odważyłam się podejść do filozofa i zapytałam, czy dotarła do niego polska wersja jego szkicu Exergum, drukowanego w numerze 1 1993 „Tekstów Drugich”. Nie, nie miał jej, a wyraził chęć posiadania polskiego tłumaczenia. Wystąpiłam mu więc numer i w odpowiedzi otrzymałam grzeczne podziękowanie. Absolutnie się tego nie spodziewałam, przyznając też, że sama w powodzi różnych zajęć często zaniedbuję obowiązki, a właściwie przyjemność podziękowania.

Opowiadam o tych zdarzeniach, bo wydają mi się odpryskami pewnej sytuacji niedoczytania, niepełnego rozumienia i bardzo cząstkowej recepcji nowej myśli. Ktoś coś słyszał, ale niedokładnie, ktoś coś pojął, ale jednostronnie i przejawskrawił, a ktoś inny nienawidzi i jest przeciw, chociaż nie rozumie. Filozof mówi w przestrzeń i wydaje się, że robi wszystko, aby go zrozumiano, wyklada dbając o precyzję i nawiązania do poprzedników, pewne zdania specjalnie akcentuje, dokładając to tego gest punktujący, pokazujący logiczne akcenty. A jednak mówi w przestrzeń – pustą, gdy się go nie słucha lub przeciwnie – szczególnie zapelnioną znaczeniami, które przyniesli ze sobą słuchacze. Tak zapelnioną, że owe konteksty zaczynają decydować o tym, co stanie się dalej.

Wstęp

Jest pewna dziwna sprawa, która decyduje o zasadniczej odmienności recepcji tego, co – ściśle czy nieściśle – nazywa się postmodernizmem na Zachodzie i u nas. W kontekście zachodnim chodzi o coś, co następuje po modernizmie, nie o zasadniczą zmianę, ale pewien typ krytycznej refleksji, który dołącza się do istniejącej tradycji przede wszystkim jako jej metapoziom krytyczny (czyż nie tym zajmował się przez całe swoje życie Derrida?) czy rozwinięcie wątków do tej pory marginalizowanych (tu pojawiają się między innymi: problematyka płci i represji wobec grup mniejszościowych). Na to wszystko nakłada się z kolei refleksja nad środkami przekazu, które przechodzą gwałtowny rozwój. Prowadzi to oczywiście do zmian jakościowych i przesunięć, ale bez efektu zerwania ciągłości czy programowego odcinania się od tego, co było wcześniej. W Polsce postmodernizm ogłoszono nie po modernizmie, ale po komunizmie, wobec tego najbardziej oczekiwanym, wręcz wymuszonym skutkiem miało być zerwanie, odcięcie się, odwrócenie.

To „nowe” miało zaspokoić potrzebę dogonienia Zachodu. A więc pospiesznie sporządzono ideową papkę na bazie postmodernizmu i posłużono się nią do całkowitej rewolucji w sposobie prezentacji literatury w szkole. Nie przystwoiwszy sobie porządnie dekonstrukcji jako akademickiej metody analizowania czegokolwiek, w imię nowości zdekonstruowano pewien istniejący wcześniej względny ład na poziomie szkolnego nauczania. Był on ładem historycznoliterackim, ale skoro Hyden White napisał, że to retoryka i konstrukt ideologiczny, a Fukuyama obwieścił, że historia się skończyła, to porzucono ten niemodny koncept. Tylko że coś trzeba wprowadzić zamiast. Ład historycznoliteracki miał to do siebie, że był łatwy do rekonstrukcji jako pewna logika przemian i zawierał przejrzyste odniesienia do historycznych wykładników tożsamości narodowej. Nie jest dla mnie jasne, że ta ostatnia ma zupełnie przestać nas interesować przy nauczaniu języka polskiego. Skoro jednak poprzednia logika była łatwa, a odniesienia przejrzyste, to dawano się także samodzielnie kwestionować ów ład i inaczej, we własny sposób ustrukturuować dane elementy. Teraz wprowadza się materiał uporządkowany według innych, niespójnych zasad: a to problemów, a to skojarzeń, a to znów ciągów tradycji, które każą przeskakiwać z jednego stulecia w inne. I to także są porządki ideologiczne, bo przed tym nie ma ucieczki. Trudniej je jednak zdeszyfrować, a ich gwarantem jest nie do końca czytelna logika profesjonalizmu, reprezentowana przez nauczyciela. Gombrowiczowski Bladaczka posługiwał się patriotyczno-sentymentalną wersją dyskursu zbiorowego epoki odzyskania niepodległości, dzisiejszy techo-Bladaczka miota się od konceptu do konceptu, reprezentując chaos ufundowany przez urazy, kompleksy i potrzebę udowodnienia swojej kompetencji. Edward Balcerzan usiłuje obłaskawić i zneutralizować skrajną wersję postmodernizmu, ale to widmo, choć jest tylko karykaturą i w niejednym urąga zdrowemu rozsądkowi, zdążyło już sporo zdziałać. Na początek dekonstrukcję podmieniło na destrukcję.

Derrida miał na temat granic literatury sporo do powiedzenia. Przede wszystkim nie negował ich istnienia, choć podkreślał ich historyczność, z czym zgodzi się każdy historyk literatury, jeśli tylko sięga poza wąsko rozumianą współczesność. W rozmowie z Derekiem Attridge Ta dziwna instytucja zwana literaturą (dostępnym

Nasiłowska Koniec epoki

w przekładzie M.P. Markowskiego, „Literatura na Świecie” 1998 nr 11-12) mówił też o narodowej tradycji i stabilności, które zapewnia nauczanie w szkołach. Literaturę postrzegał jako instytucję wolną od instytucjonalności, bez przerwy samodefiniującą się i przekraczającą, co ma zasadnicze znaczenie polityczne:

Zachodnia instytucja literatury, w swej stosunkowo nowoczesnej formie, powiązana jest z prawną gwarancją powiedzenia wszystkiego i bez wątpienia także z wylaniem się nowoczesnej idei demokracji. Nie dlatego, iżby uzależniona była od demokracji tu lub tam, lecz dlatego, że wydaje mi się ona trwale złączona z powołaniem demokracji, w najbardziej otwartym (i bez wątpienia przyszłym) znaczeniu słowa demokracja.

Anna NASIŁOWSKA